

**Wojciech Bauer**

**NIEPIĘKNY**

**PROLOG**

**Suche sznitki**

Widziałem ją. Wędrowała w ciemności, w stożku światła z lampki na piersiach, a przed nią zza zasięgu blasku wyłaniały się stalowe kręgi obudowy niczym żebra gigantycznego węża, mijała je metr po metrze; znikaly tuż za nią w głębokim, nieskończone czarnym mroku bez cieni, trafiały w bezświatlny niebyt, jakby nigdy nie istniały. Cicho, z rzadka pluskała woda, na ociosie wytrącały się z niej zielonkawe sole i tworzyły małe zaczątki stalaktytów, ozdabiając wisiorami betonowe okładziny, zamki i stropnice. W plecy wiał jednostajny wiatr, dmuchał w kucyk niedbale wetknięty pod hełm i wymykający się spod niego niczym lisia kitka, omiatał włosami policzki. Poza tym pluskiem żaden odgłos nie mącił ciszy, tylko jej gumki mlaskały w rozmiętej glinie pomiędzy podkładami toru kolejki. Miała poczucie, że mącąc złudzenie wiecznej ciszy jest tu natrętem, że przekop pozbyłby się jej, gdyby tylko mógł. Dźwięk kroków brzmiał blisko i głucho, jakby nie sięgał dalej poza krąg jej lokalnej strefy słuchu. Minęła wnękę kołowrotu z mrugającą i burczącą jarzeniówką i ten wtęret obcego światła i dźwięku dodał jej otuchy, był przybyszem z powierzchni, gościem równie tu niechcianym jak ona.

Na imię miała Franciszka. Franka kazała na siebie mówić i przedstawiała się Franka, nawet oficjalnie. Franka Kulok, magister inżynier górnik, specjalność: eksploatacja złóż. Nie lubiła swego imienia i zdrobnienie miało tę niechęć neutralizować. Łagodziło ją tylko, a i to nieznacznie, ale dawało poczucie, że coś w tej materii robi. Bo co to za imię dla współczesnej dziewczyny: Franciszka? To ojciec, to jego sprawka, według relacji mamy uparł się, żeby miała imię po dziadku. Miał je co prawda dziedziczyć syn, ale skoro nie wyszło... Potem, na AGH, Franka Kulok brzmiało całkiem dobrze, niczym pseudo kreatorki mody albo modelki. Nie to, co w jej rodzinnych Jankowicach, na podwórku familoka z czerwonej cegły, gdzie co druga koleżanka była Baśka, a co trzecia Monika. Franciszka brzmiała jak echo sprzed wojny, pomiędzy tradycyjnych śląskich Trudek, Tekli i Michć nie wystawałaby jak spomiędzy

współczesnych Natek i Andżelik. Ale Kraków przemknął przez jej życie niczym sen i dziś znów była dziuszką z Jankowic o staroświeckim imieniu, na dodatek sztajngrem w spódnicy, czyli dziwadłem wśród męskiej dołowej załogi kopalni. Jakby tego imienia było mało.

Sztajngrem została jednak na własne życzenie i aby je spełnić musiała przełamać wiele barier, tkwiących w głowach jej przyszłych przełożonych. Dziewczyn na górnictwie studiowało sporo, jednak większość na kierunkach powierzchniowych; na eksploatacji czy budownictwie górniczym było ich kilka, lecz takie, które po studiach trafiały na dół, do zawodu, którego się uczyły, można było zliczyć na palcach jednej ręki. I jeszcze sporo by wolnych palców zostało. Franka jednak chciała. Nie widziała się w biurze projektów czy naziemnej obsłudze ruchu, nie chciała zostać referentką ani tym bardziej nauczycielką. Kopalnia, dół, istniały w jej domu zawsze, były nieodłącznym składnikiem rozmów i myśli, integralną częścią życia rodziny Kuloków, gdzie górnikami byli wszyscy mężczyźni od najdawniejszych pamiętanych czasów. No właśnie, mężczyźni. Chyba podświadomie czuła się Franka winna temu, że nie jest chłopcem. Wtedy wszystko byłoby proste. Zawiódł się jednak ojciec i syn mu nie wyszedł, jeszcze więc w liceum Franka postanowiła, że mu syna zastąpi i zostanie górnikiem. Stąd to AGH po maturze i ta egzotyczna dla kobiety specjalność.

Gdy z dyplomem w ręku zjawiła się w kadrach na Gertrudzie, pani kadrowa przyjęła ją herbatką, a potem roztoczyła piękne perspektywy pracy w przykopalnianym biurze konstrukcyjnym lub w planowaniu, gdzie stażystka miałaby spokój i miłe koleżanki, słońko za oknem z widokiem na skwer w konstrukcyjnym lub trochę gorszym, na starą hałdę, ale też zieloną, gdyby jednak u konstruktorów nie chciała. Kiedy Franka zdradziła jej swoje oczekiwania, pani kadrowa najpierw zaniemówiła, potem popatrzyła dziwnie i wreszcie oficjalnym tonem, za którym kryło się wyraźne rozczarowanie z powodu zlekceważenia jej starań w kwestii znalezienia tej nowej przytulnego biurka i niestresującej pracy, oznajmiła, że w takim wypadku decyzję musi podjąć dyrektor, czeka więc ją z nim rozmowa, ale niech sobie nie robi nadmiernej nadziei, bo kobiet na dół nie przyjmują.

Na rozmowę musiała poczekać trzy godziny, bowiem dyrektor był na dole i z powodu jej fanaberii nie zamierzał skracać objazdu. Spędziła ten czas na twardej ławce w korytarzu przed sekretariatem, gdzie w oczekiwaniu audiencji przeczytała wszystkie plakaty bhp na ścianach i wszystkie ogłoszenia na związkowej tablicy. Trzy razy. W przerwach między czytaniem policzyła wszystkie grudki na ścianie naprzeciwko i obrysowała paznokciem wszystkie słoje na oparciu ławki, nie dbając już, że się jej świeżo położony lakier zetrze. Raz pobiegła do toalety, cała w nerwach, że w międzyczasie dyrektor wróci, jej nie zastanie i z rozmowy nici. Na szczęście nie wrócił, lecz więcej nie ryzykowała. Trzy przeraźliwie długie, nudne

godziny siedziała kamieniem, od czasu do czasu robiąc tylko wzdłuż korytarza rundkę dla rozprostowania zastałych kości, by poczytać o bezpieczeństwie pracy, zabójczym charakterze metanu i dofinansowaniu wczasów pracowniczych.

- Pani do mnie? – zaskoczył ją głos za plecami, gdy po raz kolejny przyglądała się mentorsko wzniesionemu palcowi dziarskiego górnika na plakacie. Odwróciła się. Stał przed nią niewysoki blondyn z mokrymi włosami, ubrany w stalową służbową marynarkę z wężykami wyższej szarży górniczej na patkach.

- Do... pana dyrektora... - bąknęła niepewnie.

- Czyli do mnie. – Blondyn kiwnął mokrą głową. Widząc, że przygląda się jego włosom, przeciągnął po nich dłonią i wyjaśnił:

- Nie lubię suszarki. Łysieję od niej.

Uśmiechnęła się.

- Nie widać.

- Dobra, dobra, nie musi się pani podlizywać, pani inżynier – też się uśmiechnął. - Kadrowa dzwoniła na podszybie – dodał, widząc jej zdziwienie, że wie, kto ona. – Proszę do mnie, niech pani wejdzie, zaraz dołączę – poprowadził ją przez sekretariat, rzucając pulchnej kobiecie za biurkiem:

- Pani Steniu, zrobi pani nam coś do picia. Dla mnie herbata, a dla pani inżynier? – zwrócił się do Franki, idącej za nim jak trusia.

- Kawa może... - pisnęła cicho, trochę onieśmielona szybkością rozwoju wypadków.

- Kawa może – powtórzył dyrektor w stronę sekretarki i otworzył przed Franką drzwi gabinetu. – Pani siądzie, zaraz wracam.

Drzwi zamknęły się i Franka została sama w głębokim klubowym fotelu. Rozglądała się po ścianach, ozdobionych jakimiś dyplomami, nieczytelnymi z jej miejsca, oraz górniczą szpadą skrzyżowaną z wojskową paradną szablą, przyglądała się ciężkim, ciemnym meblom przyozdobionym rzeźbami z węgla i z czegoś szkliscie szarego, jak się domyślała – z soli, potem długowłosemu wzorzystemu dywanowi z perskim motywem pośrodku. Ze wszystkich kątów wyzierało dostojęństwo z domieszką wielkoprzemysłowego kiczu, jak to w dyrektor-skich gabinetach bywa. Nie widziała ich co prawda zbyt wielu, a i te przeważnie na filmach, ale ten pasował do jej wyobrażeń.

Weszła pani Stenia z kawą, postawiła przed nią, wyszła, zamykając cicho drzwi.

Przyszedł po paru minutach, usiadł za biurkiem naprzeciw niej i z rozmachem prasnął o blat szarą teczką. Coś w niej musiało być niemiłego, bo minę miał przy tym zde gustowaną. Popatrzył przez chwilę na dokumenty, a potem machnął ręką i odsunął je od siebie.

- I co powiesz, dziouiszka? – rzucił w jej kierunku. – Na dół byś chciała, ja?

- Ja... - machinalnie włączyła gwarę. Tak to z tym było, zagajenie po śląsku Ślązako-  
wi, choćby nie wiem jaką literacką polszczyzną mówił na co dzień, od razu mentalną wajchę  
na śląski przerzucało. – Jo górniczy kończyłach, z górniczego domu jestem i bych chciała...

- Ja, rozumia. – dyrektor kiwnął głową. – Z kierych stron jesteś?

- Z Jankowic.

- Z Jankowic? A z kierych? Spod Rybnika może?

- Spod Rybnika – kiwnęła głową.

- Wejrziej, a jo z Przegędzy. Somsiad bez mała. Ale wiesz, dzioucha, że na dole praca  
nielekka i dżentelmenów mało. Babie ciężko bydzie.

- Panie dyrektorze, jo nawet nie godom, żech prachtyki na dole mioła i razem z chło-  
pokami z grupy bez taryfy ulgowej bakałach hercówą przy odwadnianiu. Ale joch jest z ryl-  
skiej rodziny, ociec strzałowym był na grubie, w rodzinie jeszcze trzech innych górników, a  
ujek, bracik od mamy, za nadsztygara na Rydułtowach dwadzieścia już lat robi. Jo wiem, co  
to gruba.

- Hm. – Dyrektor wstał i popatrzył na nią z góry z zastanowieniem. Pod tym ciężkim  
spojrzeniem poczuła się jakby mniejsza. – Mogymy spróbować... Ale nie na wydobywie –  
przyhamował jej radość. – Ani na przygotówki. To za trudne. Na razie do wentylacji pój-  
dziesz. Też dół, ale lżejszy i kopalnię lepiej poznasz. Może być?

Kiwnęła głową.

- Może.

- No dobrze. Jutro o w pół do szóstej w dziale wentylacji u inżyniera Mrozka. Witamy  
na pokładzie, pani inżynier. A teraz proszę dopić kawę i opowiedzieć mi coś o Jankowicach.  
Gołębie ociec hoduje?

Zaczęła mówić, ale chyba nie bardzo słuchał, zagłębiwszy się w papierach z przynie-  
sionej szarej teczki. Łyknęła więc trochę tej kawy i pożegnała się, nie zwracając uwagi, że nie  
odpowiedział, machnąwszy tylko ręką na pożegnanie. Wybiegła cała w uśmiechach i aż się od  
jej uśmiechu pani Steni udzieliło, bo jej szczęścia w nowej pracy życzyła na odchodne, czego  
raczej nie miała w zwyczaju.

To było pół roku temu. Od tamtego czasu nadgórnica Franka Kulok dozorowała prace  
w wyrobiskach wentylacyjnych, kontrolowała skład powietrza i zawartość w nim metanu i  
chodziła na objazdy, w tym takie jak ten dzisiejszy, niedzielne, gdy kopalnia stoi, nieliczni  
tylko mechanicy i elektrycy siedzą na dyżurach, a ona, oraz kilku jeszcze innych sztygarów,  
sprawdza stan wyrobisk, aby w poniedziałek robota mogła ruszyć bez przeszkód. Przyjęto ją

dobrze, trochę dokuczali koledzy sztygarzy, ale bez złośliwości, a brygady górnicze na wentylacji składały się z nieco bardziej ucywilizowanych przedstawicieli ludzkiego gatunku niż te z pierwszej linii ruchu, więc nie bardzo odczuła konsekwencje swej niezwykłości wśród specyficznego składu górniczej załogi. Ludzie się nawet bardziej pilnowali z używaniem klasycznej górniczej łaciny, przynajmniej na początku, dopóki nie stwierdzili, że ona też umie rzucić grubym słowem i pojechać wiązańką, aż się z butów zadymi. Wiedziała, że tak trzeba, że bez tego trudno jej będzie wzbudzić autentyczny szacunek. Ale i tak na jej zmianie język górniczej wentylacyjnej braci bliższy był salonowemu niż średnia statystyczna.

Dziś popełniła wykroczenie, wcale niebłahe. Ale też i nie pierwsze, ani nie była jedyną, która takie popełnia. Była sama. Przepisy wymagały, żeby sztygar na objeździe miał towarzysza, pomocnika, co było uzasadnione względami nie tyle wynikającymi z dość nielicznych obowiązków, co bezpieczeństwa. Pomocnika jednak trzeba sobie było zwerbować samemu spośród robotników, co nie zawsze było łatwe. Ludzie niechętnie przychodzili w wolne do pracy, nawet za dodatkowe pieniądze. Bywało więc, że się nie udało i pracownik dozoru, zwłaszcza młody i o wątpliwym jeszcze autorytecie, jechał sam, nakłamałszy wcześniej dyspozytorowi. Jak dotąd nikomu nigdy nic się nie stało, co sprzyjało rozluźnieniu dyscypliny i przymykaniu oka przez przełożonych. Bo wiedzieli, mając w pamięci własne takie ekscesy w początkach kariery.

Mówiąc szczerze, Franka nie czuła dyskomfortu z powodu samotności. Wolała być sama, wolała posłuchać tej ciszy, w której każda kropla dźwięczy niczym serce dzwonu, każdy podmuch przeciągu huczy zapowiedzią tajfunu, górotwór za obudową chodnika niekiedy skrzypi i trzaska, jak gdyby gadał pierwotną jakąś gwarą z czasów, kiedy kosmos ledwie się w kule planet wiązał, gdy z tąpnięciem zaciskają się zamki, prosząc rdzawo-wapiennym pyłem na głowę przechodzącego, a na ścianach w zawale rozlega się z rzadka rumor opadających skał. Jeśli byłby tu z nią towarzysz, musiałaby o czymś rozmawiać, słuchać żartów i opowieści, które w ogóle jej nie obchodziły, i czuć się zobowiązana do opowiadania o byle czym, gdy nie miała na to ochoty. Szliby tylko, z utęsknieniem oczekując końca objazdu, gdy ich wreszcie szola wyniesie ku światłu, gdy się umyją, przebiorą i pojedą do domu, skorzystać z tej niewielkiej resztki niedzieli, jaka im została. W samotności tego oczekiwania na koniec wędrówki było mniej, więcej czuła potrzeby przeżycia teraźniejszości, mrok był przyjaźniejszy i więcej miał do zaoferowania. Co nie oznacza, że był przyjazny. Poczucie obcości w tym świecie towarzyszyło jej zawsze, potęgując się w samotności. Ale lubiła je przezwyciężać. Czuła się poniekąd zdobywcą, jakby ujarzmiła za każdym weń wejściem niechętną czerń. Rozcinała ją ostrym biczem światła i czerń rozstępowała się przed nią, posłuszna, choć nie

uległa. Franka wiedziała, że za nią nie ma już widzialnego świata; nie lubiła odwracać się bez skierowania wstecz lampy, wołała pozostać w złudzeniu otaczającej ją jasności. Była to jasność iluzoryczna, wymyślona i nieprawdziwa, światła bowiem było tylko tyle, ile zdołał wyprodukować akumulator, i tyle, w jak szeroki stożek uformował je odbłask górniczego reflektorka. Poza tym światła nie było. Był mrok, bo kopalnia jest ojczyzną mroku.

Kilkanaście kroków przed sobą zobaczyła skrzyżowanie. Z przekopu odgałęział się tu w prawo chodnik podścianowy w pokładzie 407, którym miała dojść do miejsca, gdzie w tygodniu fedrował oddział III. Szła od dołu, bo na podszybiu poziom wyżej trwały prace remontowe i musiała zjechać na niższy. To oznaczało, że przez ścianę będzie musiała wspinać się pod górę, a potem wyjść jeszcze dowierzchnią na poziom 200, żeby obejrzeć stan otamowania wokół dawnej strefy pożarowej, gdzie dwa lata temu walczono z ogniem. Dziś dawno było po wszystkim, wyrobiska odcięte, a za tamami spokój, ale sprawdzić było trzeba. Lepiej chuchać na zimne, z ogniem w kopalni żartów nie ma.

Doszła do rozwidlenia. Naprzeciw wlotu znajdowało się stanowisko obsługi ładowni. Przysiadła na drewnianej ławeczce obok kołowrotu, wyjęła kanapkę i butelkę coli. Czowała zmęczenie. Tutejsza ściana była już drugą dziś, a jeszcze tyle drogi przed nią. Bolały ja trochę nogi i piekła obtarta w gumowcu pięta. Zdjęła but, rozprostowała zwiniętą skarpetę. Jadła siedząc bosko, popijała ciepłą colą każdy kęs, sznitka była z czerstwego chleba, do tego z żółtym serem, zatykała. Janek robił, chłopak, z którym mieszkała. Nie postarał się za bardzo, stwierdziła, wbijając zęby w suchą kromkę. Znali się ze studiów, razem prowadzili gospodarstwo w wynajętym mieszkaniu w Zabrze. Janek pracował w elektrycznym na Makoszowach, dziś miał wolne, więc starał się pomóc tym śniadaniem. Doceniała. Jednak zrozumienie smaku nie poprawiało. W ogóle nie lubiła jeść na dole, nie smakowało jej. Z rozsądku brała, łykanie pyłu na czczo nie robiło dobrze na żołądek, parę lat i wrzody pewne. Ugryzła jeszcze raz, pomamlała, popiła, ugryzła drugi. Popiła. Schowała niedojedzoną sznitę do chlebaka, zakręciła i schowała niedopitą colę. Później zje.

Powoli założyła but. Nie chciało się jej iść dalej, chętnie by wróciła pod szyb. Z westchnieniem wstała z ławeczki, poprawiła kask, przypięła mocniej lampę do koalicijki, przesunęła akumulator na pośladek. Podniosła benzynkę za hak, sprawdziła płomień. Takie stare urządzenie, a ciągle przydatne. Lampy Davy'ego ciągle powszechnie stosowano do sprawdzania jakości powietrza, mimo że coraz częściej próbowano zastąpić je elektroniką. Jednak co ogień, to ogień, pewny jest. No i chyba koszty też sprawa niebagatelna, pomyślała. Prosta lampa z knotem kosztowała zapewne najwyżej dziesięć procent ceny najprostszego elektronicznego urządzenia pomiarowego. W codziennym użytku wciąż więc była niezastąpiona.

Pokręciła korbą telefonu, zameldowała się dyspozytorowi. Posłuchała jego znudzonego głosu, po czym odłożyła słuchawkę. Nawet nie zakodowała, co tam do niej mówił. Na pewno nic ważnego, każdy, kto w telefonie z dołu usłyszał kobiecy głos, w pierwszej kolejności czuł się w obowiązku prawić jakieś dyrdymałowate komplementy. Przepisnęła się między wozami pod przesypem i zagłębiła w mrok chodnika. Było tu ciasno, znacznie ciaśniej niż na przekopie. Większość prześwitu zajmował przenośnik do transportu węgla, z jego prawej strony było tylko dość wąskie przejście dla ludzi, blisko ociosu, szła więc pod samą obudową, często schylona, gdy robiło się bardziej wąsko. I dopiero tu była prawdziwa ciemność. Na przekopie od czasu do czasu świeciły jakieś lampy, na ładowni w ogóle było jasno jak w biurze; tu od pierwszego zakrętu weszła w smolistą, mokną czerń.

Wszędzie królowała wilgoć. Wilgoć kropliła się na ociosie gęstymi kroplami, przez co wyglądał jak spocony, wilgoć ciurkała strumykami tu i ówdzie zza okładzin obudowy, tworząc na spągu grząskie kałuże, wilgoć mlaskała pod podeszwami kaloszy niemal bez przerwy, bo na całej długości chodnika przejście było jedną rozdeptaną, mlaskliwą breją. Mlaskała w niej krok za krokiem, pochylona, wspinając się pod niewielką, lecz niekończącą się, długą pochyłość. Męczyła; Franka dziesięć razy bardziej wołałaby strome, lecz krótkie wzniesienie od takiego mozolnego brnięcia lekko pod górę, do tego po kostki w błocie. Od dłuższego czasu sapała jak parowóz, słuchając siorbania wyciąganych z mazi butów, które chodnik powtarzał lekko opóźnionym echem.

Przystanęła na chwilę przy przesypie kolejnej taśmy, aby odpocząć. I w tym momencie, w sekundzie, gdy z monotonnego ruchu przechodziła w stan zatrzymania, coś zwróciło jej uwagę. Jakiś nienaturalny wtręt w głuszę podziemi i cichy głos wody. Ten dźwięk, który towarzyszył jej niemal od początku, od chwili gdy zagłębiła się w czeluść podścianowego, owo – jak myślała – echo jej człapania, powtarzające je w krótki ułamek chwili po tym, gdy się stało, teraz, kiedy znieruchomiła, trwało o kilka chwil za długo, dublując kroki, których już nie było. Echo nieistniejących kroków... Dwa, trzy... I cisza.

E, zdawało jej się. Nie zdawało? Ktoś za nią szedł? Ktoś, kto starannie trafiał odgłosem swoich kroków w jej kroki, nie chciał, by go słyszano? I teraz, gdy się zniecka zatrzymała, spóźnił się o te dwa nieopatrznie postawione...?

Bzdura. Poświeciła lampą wstecz, za siebie. Nic, poza zasięgiem białego światła smoliła się mglista ciemność, błyszcząca brylantowymi refleksami setek malutkich odbić w kroplach wody. Nikogo, bo i kto miałby tu łązić w świętą niedzielę, zamiast iść z rodziną na mszę albo spać do południa, odsypiając całonocne zaległości. Urojenia jakieś. Strachy. Ciemność zawsze ma w sobie organiczne strachy, które wyłażą z niej, generowane seryjnie

przez spanikowaną mrokiem wyobraźnię. Ale kopalnia to nie jest żadna tajemnicza otchłań wypełniona przedwieczną nocą z przedwiecznymi upiorami, tylko zakład pracy, pełen maszyn, prądu, myśli technicznej i gonitwy za pieniądzem. Gdzie tu miejsce na irracjonalne lęki, na imaginacyjne dewiacje? W lochach można się bać, w jaskiniach, nawet w piwnicy. Ale nie w kopalni, na miłość boską. Jedyne istniejący Skarbek to Piotrek Skarbek, znajomy sztygar z mechanicznego, który dziś pewnie zalicza piwo z kolegami w pubie na Rynku w Gliwicach.

A jednak się bała. Nie bardzo, troszkę tylko; zostało w niej troszeczkę lęku na dnie jej racjonalnego, inżynierskiego umysłu.

Doszła pod ścianę, do dolnej wnęki. Spojrzała pod górę. W świetle latarki sekcje obudowy ścianowej lśniły nieskończonym szeregiem siłowników, niczym aleja stalowych drzew. Dopiero tu widać było pierwotną wściekłość natury, zgwałconej przez wtargnięcie człowieka. Tylko ten rząd napiętych do granic stalowych podpór trzymał ją w ryzach na wąskim przesmyku pomiędzy nagim węglowym ociosem, w którym, gdy się go dotknęło dłonią, czuć było wewnętrzne, tłumione napięcie spod prasy kilkuset metrów skał ponad nim, a oswobodzoną, na powrót wolną i dziką strefą zawału.

Pochylona, podpierając się rękami, ruszyła pod górę, w przesmyk pomiędzy stojakami. Było ciasno, przeciskała się między siłownikami wśród kłębowiska gumowych węży, doprowadzających emulsję do obudowy. Dwukrotnie boleśnie obijała sobie biodro o rękojeści zaworów, symetrycznie, najpierw prawe, potem lewe. Będą siniaki jak nic, skrzywiła się z bólu.

Była mniej więcej w połowie drogi, gdy na twarzy poczuła wilgotną mgiełkę. Zaraz też dobiegło jej uszu syczenie. Spojrzała pod górę. Przed nią, cztery sekcje wyżej, w świetle lampy kłębił się obłok białych, mikroskopijnych kropel. Przepchnęła się bliżej. Spod zacisku mocującego wąż do siłownika bił cienki strumień białej cieczy. Siłownik nie trzymał, przód stropnicy opadł trzydzieści centymetrów poniżej stropu, znad niego wysypało się trochę pokruszonego łupka, tworząc pustkę, głęboką na prawie metr. Obeszła miejsce wycieku, wyjęła notes, zapisała numer sekcji. Zgłosi awarię dyspozytorowi, tylko wylezie na górę. To jej uświadomiło, ile jeszcze wspinaczki przed nią. Westchnęła z rezygnacją i popęzła dalej.

Wydostała się nad ścianę zmordowana i zgrzana, bluza kleiła się jej do pleców, nie wiadomo, czy bardziej od potu, czy od cieknącej emulsji i obecnej w powietrzu wilgoci. Wyszła na chodnik, przysiadła na stercie okrągłaków. Musiała odpocząć, potem pójdzie obejrzyć miejsce rabowania wyrobiska, sprawdzi poziom metanu i poszuka telefonu. Ale na razie należała się jej chwila oddechu. Pomyślała o Janku i zrobiło się jej miło na sercu. Franka nie była osobą wylewną, uczucia chowała przed światem, a często i przed sobą, dlatego ją samą zaskoczyło, gdy tak nagle i tak jasno uświadomiła sobie, jak bardzo go kocha. Chodzili ze sobą

już na studiach, a potem naturalną kolejną rzeczą zamieszkali razem w wynajętym mieszkaniu na górniczym osiedlu. Dobrze było France w tym związku i w zasadzie wiązała z nim konkretne plany na przyszłość, lecz niewiele myślała, a jeszcze mniej mówiła o miłości. A ona była i czasem zniecała wyzierała spod warstwy codziennego zmęczenia i monotonii, by jej powiedzieć, że jest. Sprzyjały temu takie chwile jak ta, gdy samotność wokół panowała tak wielka, że większą trudno było sobie wyobrazić. Kocham cię, Janku, i te twoje suche sznitki, pomyślała z uśmiechem w duszy i wstała.

W zawale wszystko było w porządku, metanu zero. Wracając odruchowo zajrzała w głąb ściany i nagle zatrzymała się. Poświeciła w ciemność między stojakami. Nic, pewnie złudzenie. Bo przez chwilę wydawało się jej, że widzi tam, na dole, rozbite w lśniącej stali siłowników na sto malutkich rozbłysków, drżące, wędrujące w górę światło.

Objazd miał się ku końcowi. Jeszcze tylko otamowany pożar i można będzie wracać pod szymb. Franka spojrzała na zegarek. Dochodziło południe. Szybko się uwinęła, może, jeśli dobrze pójdzie dalej, zdąży na wcześniejszy wyjazd. Czekają ją jeszcze tylko kilkaset metrów wspinaczki dowierzchnią do strefy starego pożaru, potem przecinką do pola i już. Zrobi pomiary, obejrzy tamę, zadzwoni i pod szymb. Jest szansa, że zdąży na wyjazd o trzynastej.

Ciągle czuła dotyk niepokoju. Przekonywała sama siebie, że złudzenie, że ponieważ o tym myśli, to się jej myśl materializuje i jako natręctwo tkwi w niej i wraca, każąc sprawdzać co parę metrów. Przecież dyspozytor potwierdził...

- Panie Staszku... - Głos miała niepewny, bo raport już złożyła, a dyspozytor miał swoje obowiązki i pewnie w kolejce czekali inny objazdownicy.

- Jeszcze coś? – usłyszała jego znudzoną niecierpliwość, mieszaną tęsknotą za spokojnym doczekaniem końca dniówki i irytacją jej nadprogramowym jakimś problemem, co go obchodził mniej niż cokolwiek. – Ma pani coś jeszcze?

- Nie... Zapytać tylko chciałam... Przepraszam, to głupie, ale... Czy jest tu, w moim rejonie, ktoś jeszcze?

- Ktoś jeszcze? – odruchowo powtórzył dyspozytor, a w głosie miał na razie tylko zdziwienie. – Nie, chyba nikogo... Tak, na pewno nikogo tam nie ma. A co?

- Bo zdawało mi się...

- Tak? – zapytał, gdy jej wahanie zaczęło się przeciągać.

- Nie, nic. Nic, nic...

- Pewno Skarbek, hyhy. Pani uważa, on na cnotę łasy.

- To się zawiedzie – odburknęła, wybijając go z już zaplanowanej linii dowcipasów. Odłożyła słuchawkę, nie czekając na odpowiedź. Pomyślała, że powinna poczuć się lepiej.

Nie poczuła się. Wrażenie czyjejś obecności, raz uświadomione, nie chciało jej opuścić, poddać się wyśmianiu przez dyspozytora i jej własnemu intensywnemu pukaniu się w głowę.

Dowierzchnia była męczącym odcinkiem jej drogi. Miejsca było dużo, nie to, co w ścianie, ale szła już strefą odprowadzenia powietrza, w ciepłym, jednostajnym, śmierzącym pleśnią przeciągu, nieustannie dmuchającym w plecy, co teoretycznie powinno pomagać we wspinaczce, a w praktyce utrudniało oddychanie, gdyż przed idącym człowiekiem tworzyła się zatykająca strefa powietrznej zastoiny. Było tu sucho, żadnej wilgoci, żadnego błota, tylko pleśń na drewnianych okładzinach i chude myszy, przemykające pod ociosem równoległe do trasy jej wędrówki, w nadziei na resztki jedzenia.

Nic tu nie słyszała, nic nie widziała. Żadnych kroków w echu, żadnych błysków. Wychodząc na przekop pomyślała, że dyspozytor, wyśmiewając jej lęki, miał rację. Przecież, do diabła, była w fabryce węgla, sprawdzała zdolność tej maszyny do podjęcia pracy w poniedziałek, kontrolowała stan bezpieczeństwa, raportowała o awarii, by na nocnej zmianie ekipa hydraulików naprawiła ciekący siłownik i poranna brygada bez problemów uruchomiła kombajn i wydarła z calizny kolejne setki ton cennego paliwa.

Przecinkę, która wiodła do wyrobisk pożarowych, odcinała od przekopu śluza. Z wysiłkiem pchnęła drzwi w pierwszej tamie, weszła. Uderzyła ją w nozdrza stojąca, duszna atmosfera, w zatrzaśniętych z głuchym stukiem drzwiach tamy cienko zagwizdał przeciąg. Otworzyła drugie drzwi, przez chwilę zmagając się z oporem powietrza. Poświeciła do środka. Za śluzą ciągnęło się około dziesięciu metrów prostego chodnika, dalej wyrobisko ginęło za łagodnym zakrętem. Ciemność, duchota i fetor zwietrzałego szamba. Skrzywiła się. Pół poziomu chodziło tu pewnie za potrzebą. Ruszyła szybkim krokiem, chodnik był krótki, za następną tamą smród powinien zelżeć.

Poczuła to. Poczuła tak wyraźnie, z taką pewnością, jak gdyby wokół było jasno i wszystko potwierdzał wzrok. Tak, ktoś tu był. Na pewno, nie musiała nawet słyszeć kroków, nie słyszała ich, czuła je wewnątrz, w sobie, w drganiu ściśniętej strachem tchawicy, w trzępocie za mostkiem, w niespodziewanej kropli potu, która wolniutko, zimną strużką spłynęła jej spod hełmu na czoło.

- Kto tu? – krzyknęła i panicznie powiodła snopem światła dookoła siebie. Nikogo. Pobieгла, potykając się o podkłady starego torowiska. Już nawet nie próbowała przekonywać się, że coś sobie wmawia, że cisza, ciemność i strach tworzą w niej to złudzenie. Uległa mu

całkowicie, poddała się. Biegła z zapowiedzią krzyku na wargach, wpatrując się w koniec strumienia światła przed sobą, aż wreszcie pojawiła się w nim drewniana zapora wylotowej tamy i ten widok spowodował, że panika spłynęła z niej niczym strumień wody, a w to miejsce pojawiła się ulga. Zwolniła. Uff, koniec, zaraz wyjdzie stąd, potem tylko parędziesiąt metrów do tamy pożarowej, stamtąd zadzwoni do dyspozytora i wróci. Już nie tędy, nie ma głupich. Pójdzie prosto na przekop, dłuższą drogą, ale ponownie wchodzić w tę straszną przecinkę nie miała zamiaru.

Do tamy było nie więcej niż piętnaście metrów. Może nawet mniej. Może dziesięć. Jeszcze szła w jej stronę, gdy ogarnęła ją lodowata pewność, tak wielka i obezwładniająca, że zdusiła wszelki odruch obronny. Odwróciła się. W świetle lampy zobaczyła – i w jej oczach... Groza, ten wyraz okrutnej, przerażającej emocji został w jej oczach dla tych, co ją tu mieli znaleźć.

Po zardzewiałych wręgach obudowy poniosło się krótkie, stłumione echo dziewczęcego krzyku. Została po nim ciemność. Ciemność, w niej błyszczące oczy chudych myszy.